

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Arkady Fiedler,
Władysław Gieysztor,
Mira Grelichowska,
Bryan de Grineau,
Ernest Reiss,
Kazimierz Wierzyński

Vol. 2 Nr. 11 (63)

Nowy Jork, 12 marca — New York, 21, N. Y., March 12th, 1944

Cena 15 ct.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

BALLADA O CHURCHILLU

1.

*W Warszawie jedną aleję nazwano aleją Churchilla,
Chrzyciły ją polskie podziemia a napis wyryto w pamięci,
Miasto chodziło tam patrzeć, czy noc się nad światem przesila,
Matka — czy syn jeszcze żyje, a żołnierz — jak noże się święci.*

*W Warszawie jedną aleję nazwano aleją honoru
I kraj się na niej położył jak pies na ostatnim sztandarze:
Waruje czy lecą z Anglii lotnicy każdego wieczoru,
Czy piechur kłęczy w okopie i płyną wśród mgły marynarze.*

2.

*Wylecieli, wylecieli
Na tysiące w górę stóp,
Z chwały, ognia, chmur kąpieli
Pospadali prosto w grób.*

*Wili wieńce w Battle of Britain,
Krucze wieńce, wążła garść,
By nad nocą polską świtem
Rozsypanym wzejść i paść.*

*I pokładli się spokojnie,
Szpalerami w równy rząd.
Ach, na wojnie jak na wojnie,
Przyszli tu, nie wrócą stąd.*

*Stąd już nic ich nie uprzątnie,
Nie wywabi — zaszli krwią.
Pikowali prostokątnie
Z chmur pod ziemię. Teraz śpią.*

*Leżą cicho rok i więcej,
W słuch zmieniony każdy grób,
Sprzymierzeńcy, sprzymierzeńcy
Obliczeni na sześć stóp.*

*Każdy w ciemnym grobie słucha
Wiosen w górze, wiatrów, zim,
Jaka przyszłość, kto mu ducha
Dotrzymuje, kto jest z nim.*

*Śni i słucha rok i sto lat
Ten kto pierwszy podjął straż
I ostatni zejdzie z pola.
Taki zwyczaj. Parol nasz.*

3.

*A piechota na piechotę
W duszny wrzesień, w mróz i słońce
Wyszła z domu, poszła w świat,
Po Europie pełzną tanki,
Żołnierz z bruzdy do glinianki
Twarzą w muł wyschnięty padł.*

*Słuchał w lochu Westerplatte:
"Pomoc idzie na odpłatę,
Wytrwaj tylko, stój jak mur."
Więc stał, ginął i szedł dalej,
Gdy się inni poddawali
W Francji i pod Singapore.*

*Więc pod niebem stał okrutnem
Koło Lwowa i pod Kutnem
I do śmierci trwał pod Reims
A z nim razem się uparli
Wierzyć — żywi i umarli —
W nadrozumny, wieczny sens.*

Więc szedł, bił się, gdzie mu dali,
 Od Narwiku do Gazali,
 I do Polski znowu z Włoch
 Pò żołniersku, prostą drogą
 Idzie, padnie jeśli zmoga,
 Znowu twarzą, znowu w proch.

Po żołniersku i uczciwie
 Płaci życiem, by po zniwie
 Podjąć ziemi własnej garść,
 I podumać w sercu skrytem,
 Że nad Polską, by wzejść świtem,
 Trzeba tyle razy paść.

Że nim zboże podejrzewa,
 Malwy wzrosną, dojdą drzewa,
 Już tą ziemią idzie jęk,
 I już niema z niej odwrotu:
 Krew i łzy i krople potu
 I ściśnięta siła szczęk.

Żadna moc go nie odstraszy
 Przy wolności naszej, waszej
 Stać i bić do końca z dział,
 I dotrzymać obietnicy —
 Sojusznicy, sojusznicy...
 Taki zwyczaj. Słowo dał.

4.

A kiedy konwój przepływał Północą,
 Kołem polarnem, do Rosji z pomocą
 I nagle alarm szedł racą po racy,
 Kiedy okręty kurs brały do boju —
 Czy nie płynęli w tym obcym konwoju
 Na pomoc Rosji Polacy?

Marynarz pocisk ładując w komorze
 Czy szemrał, kwasiał i mądrzył się może

I dogadywał się aż do przymierza,
 Po Ostaszkwowie i łagrze w Kobielsku
 Czy nie uczciwie i nie po żołniersku
 Obliczał wybuch z dalmierza.

Oerlikon gdakał, a potem się krztusił,
 Wiatr kogoś zdmuchnął i kogoś zadusił
 A komuś ręce urwało w ramionach,
 Nieśli ich zewsząd po mokrym pokładzie,
 Czy widzisz, jeden przy drugim się kładzie,
 Ktoś krzyknął: Polska! I skonął.

Lekarzy było aż dwóch. Czy nie mało,
 Gdy tamtym ginąć tak bardzo się chciało,
 Że pokład, pomost i messę zalegli,
 A nalot hełmy znów zrywał na głowie
 I pożar wybuchł gdzieś. Z drogi, panowie,
 Z drogi, koledzy polegli!

Aż do Murmańska po bitwie jechali
 Ratować rannych i nieść ze szpitali
 Zmarłych na cmentarz i składać tam kości,
 Tam na Północy, rosyjskiej Północy,
 Gdzie jeszcze stało na tyle pomocy
 Nas, obszarpańców wolności.

Aż powrócili na pokład i deski
 Krew z nich pozmywać. Śród pustki niebieskiej
 Patrzyli w morze, na szlak tajemniczy,
 Dokąd znów trzeba im będzie popłynąć,
 Komu na pomoc, znów walczyć i ginąć,
 Czy to się także nie liczy?

A kiedy Garland powracał Północą,
 Ktoś na organkach do późna grał nocą
 O malwach, sadach, co lgną ci do ręki,
 O kłosach, wrzosach. Ach, drogo daleka,
 Kiedy wrócimy, co jeszcze nas czeka!
 — I znów ścisnęły się szczęki.

5.

W Warszawie jedną aleję nazwano aleją Churchilla,
 Matka przy synie tam kłęka, bezradnie nad trupem się schyla,
 Luty wiatr szarpie jej chustkę, zaszklone obmarzły mu oczy,
 Jak cię przed wichrem osłonić, kiedyż ta noc się przetoczy?
 Gdzież to cię donieść, pochować, pięć lat się już próba powtarza,
 Ach, nie w Murmańsku — w Warszawie każdego jest grób marynarza,
 Jak cię tą chustką otulić i dowlec cię gdzieś do ostatka,
 Pilocie nasz i piechurze, nad każdym pochyla się matka,
 Nad każdym, co w noc tę ruszył, i w drodze na twarz nagle pada,
 Schyla się, szepce coś, szepce — i krąży po Polsce ballada.

6.

*Mówmy otwarcie; pan, majorze,
Coś długo w bojach bił się jary
I wytrwał — nawet pan nie może
Jednego nam odebrać: wiary.*

*Sam pan powiedział, że do rządów
Nie poto pana król powołał,
Byś mu imperjum z mórz i lądów
I lwa nad nimi zlikwidował.*

*Chłop polski też na wojnę poszedł
I kraj się bije niepodbity
Nie poto, nie — by przez rykoszet
Utracić pół Rzeczpospolitej.*

*Może przechytrzy gdzie kto kogo,
Czarne za białe mu wyłoży,
Po krwi, po łzach ktoś naszą drogą
Przewali się w pochodzie. Może.*

*Tylko niech pan nie mówi wtedy,
Reszkę spędzając niepokoju,
Że to już koniec, kres, półbiedy.
Niech pan nie mówi o pokoju.*

*Trzy razy z domu szedł na sto lat
Bić się po lasach i z kulbaki*

*Półmartwy się osuwał Polak.
Taki ma zwyczaj. Parol taki.*

*Zimą to było lub w jesieni,
W niedawnych czasach. Nic nie wróży,
Że teraz parol ten się zmieni
I echem leśnym nie powtórzy.*

*Ci ludzie nie są kondotjerzy
I nie chcą pana ocyganić:
Ziemia jest tam, gdzie ziemia leży
W malwach i sadach, w zbożach granic.*

*Nie poto ktoś z Tobruku zbaczał
Na gorzką północ do Murmańska,
By kraj w rozstajach znów się taczał
Jak karczma od cudzego tańca.*

*Więc niech pan nic nie mówi światu
Umęczonemu o pokoju,
Bo mógłby strzelić kto cytatą
O nowej krwi, o łzach, o znoju.*

*Ale to przyszłość, mgła daleka,
Nie wiedzieć co przyniosą wieści.
Wróćmy na miasto. Tam nas czeka
Koniec tej chmurnej opowieści.*

7.

*W Warszawie jedną aleję nazwano aleją Churchilla,
Wolność tam stoi samotna. Samotnie się z nocą przesila.*

8.

*W Warszawie jedną aleję nazwano aleją wytrwania,
Zamek przyświadcza jej w gruzach, w Palmirach zwołują się kości
I ghetto krzyczy ze śmierci, że teraz już tego nazwania
Nic nie odejmie szkieletom leżącym jak pies przy wolności.*

9.

*Aleją honoru chodzi w Warszawie dziś człowiek najprostszy.
To żołnierz.*

Nóż ma w podziemiach.

I ostrzy go, ostrzy go, ostrzy.

ERNEST REISS

PAN KROJCZY ZWOLIŃSKI

Rzecz była zwyczajna: góralska jesień i góralski pogrzeb. Drzewa pokryły się złotymi liśćmi, kłony wyglądały smutniej i nawet modrzewie, chociaż zachowały zieloność, płakały głośnie. Może nie wszystkim tak się zdało, ale Józkowi napewno. Dreptał po krościeńskim szarem błocie za trumną matki, niewielką i z żółtych desek zbitą, ubogą; nawet złoty krzyż na wieku, rudawo odbijający się o szerniałe niebo, nie czynił tej trumny ani bogatszej ani nawet większej. Smutny dzień był i tyle. Gaździnki pochłipywały, gazdowie jacyś smutniejsi dnia tego byli, ksiądz proboszcz po łacinie mamrotał, a Józkowi było jakby z tem błotem się zrosł na zawsze. Mieć dwanaście lat, iść za trumną matki, nie pamiętać ojca — o! pomyślcie tylko! To prawda, był brat. Starszy o cztery roky ale i cóż po nim? Był już inny, nie wiejski, jakiś daleki i obcy: "student" szóstej klasy c. k. gimnazjum w Nowym Sączu.

Po pogrzebie pomilczeli, potem pogadali, nawzdychali i już wiedzieli, co z Józkiem zrobić. Gazdowie za opiekunów mu byli, zgodzili się warko, że na ten czas niema jak być krawcem. Bo to, jak wiecie, robota nie ciężka a guldeny sypią się obficie. W Szczawnicy był taki co na termin przyjmował, więc do niego. Ani się Józek obrócił, jak za krawieckim stołem siedział.

Naprzód łątać i sztukować uczył się Józek, potem wypychać, zbierać, no i kroić. Poszło to jak z bata strzełi! Józek z terminu na czeladnictwo przeszedł i za krawieckiem wyzwoleniem spozierał. Górą był, o czem pamiętać trzeba, więc tęsknił i co się temu dziwił? Sam nie wiedział za czem, aliści, jak był popatrzył na Trzy Korony, coś mu w głowie szeptało, iż za górami świat szeroki i piękności wielkiej. Wiedział on już o nim niejedno, bo i w książce geografją przewzanej tak stało, i ludzie to mówili, mówiło też i państwo gdzieś aż z Warszawy czy z Węgier przybyłe, Te Węgry utkwiły w Józkowej głowie i skuli nich coś se ubzdurał, że tam będzie najlepiej. Tak też i zrobił... Poszedł przez strome ścieżki Pienin i Gorców, minął Turbacz, aż załaził do Keżmarku. Zamiast po węgiersku — gadali po słowacku. "Tem lepiej", pomyślał Józek, a że podobało się mu tam jakoś bardziej niż w Szczawnicy Roboty były najwięcej wojskowe i żandarmskie, i trochę babskie, bo tam jakoś bardziej niż w Szczawnicy zachodziły młode i starsze po nowowymyślone żakiety.

Gadu, gadu, a tu nikt nawet nie wie, ile czasu już spłynęło ani nie wie nawet Józkowego nazwiska po ojcu. To najważniejsze! Ano pisał się Zwoliński, Józef Zwoliński. I już trudno teraz "Józek" mówić, bo chłopaczysko skończył szesnaście lat, czeladnikiem jest jak się patrzy i własną robotę tnie, majstra zastąpić potrafi, wykluwający się wąs czyni go starszym i męźniejszym, a więc co za "Józek"?

Słowacka ziemia wnet wydała mu się niepiękna. Po roku kawalerowi z warsztatu krawieckiego uprzykrza się to wszystko i swoich stron brakuje mu jak rodnego brata. Jedzie więc do Nowego Targu, tam u majstra na rynku, niedaleko kościoła, bieduje. Robota jakaś nijaka, pieniędzy mało, tyle że na Tatry widok, jak nigdzie! Józek, cosik mu tak kazuje, znowu w świat idzie. Tym razem ten najbliższy nieznan i daleki w Krakowie. Osiemnastoletniemu czeladnikowi nie wypada na piechty dybać, siada więc w Chabówce na pociąg, od niedawna stąd idący do Krakowa, do brata, "akademika" filozofji. Znalazł się kąt dla Józka w studenckiem mieszkaniu na Małym Rynku z przekupkami, siedzącymi pod rozłożystymi parasolami, owoc wszelaki sprzedającami, gorzałę od Feintucha popijającami, szpetnie i sakramencko się wyzywającami, z andrusami, uganającymi się od ranka aż do czasu bicia dzwonów u Świętej Barbary.

Józek po czasie niedobrze się poczuł w towarzystwie filozofa, prawnika i medyka. Poprostu nie pasował do nich. Powiedział im, jak i Krakowowi: "Łościańce z Bogiem" i pojechał do Lwowa. Tutaj zaczyna się wędrówka trwająca lata; możnaby ją wytłomaczyć Józkową niespokojną naturą góralską: wszędy dobrze — gdzie nas niema... Lecz Lwów, wtedy dla Józka świat daleki, wart jest wspomnienia, bo tutaj zaczyna się karjera przyszłego pama krojczego Zwolińskiego. We Lwowie poznaje on tajemniki swego kunsztu a szczególnie krojenia okryć niewieściech, z dniem każdym coraz większem wzięciem się cieszących mantylek, kostjumów, sukien, spódnic tak zwanych sportowych i tych wszystkich ekstrawagancji, które u współczesnych babek takie samo zgorzenie wywoływały, jak dzisiaj, nieprzymierzając malowanie nóg na brązowy kolor.

Zanim wybierzemy się w dalekie a jakże ciekawe podróże z panem Józefem, kunsztownym przykrawcem bardzo wyszukanej garderoby białogłowych, słówko rzeknijmy o jego ro-

boty początkach. Jakże się to stało, że Józef, ze wsi podhalańskiej, zjeżdża świat cały, by dorobiwszy się grosza osiąść na zawsze w Nowym Świecie i tam zdobyć rozgłos zazdrości godny? Nie można rzec, iż tylko Lwów to zrobił! Pomimo że Lwów był stolicą austriackiej Galicji, był na owe czasy znacznym i znaczenie mającym miastem, ale wzięcie tak u dam, jak i majstrów krawieckich pan Józef zdobywa sam. Jedno słowo wystarczy: prezencja! Tak, swą prezencją, ubraniem, jakowiemś ni stąd ni zowąd wielkopańskimi manjerami pan Zwoliński wysuwa się na czoło wszystkich młodych przykrawaczy i jest, żeby tylko nie powiedzieć za dużo! — rozrywany. Wie to i wie, że świat na Lwowie się nie kończy i dlatego jedzie do źródła westchnień wszystkich cesarskich urzędników i niewydanych córek austriackich oficerów — do samego "Widnia". Tam, jak się to stało nie wiemy, trafia na innego Zwolińskiego. Chociaż ni brat ni swat, ale zawsze Polak i krawiec damski. Mitzi i Betti, dwie pociechy majstra nie znają polskiego, ale zato pan Józef po niemiecku szwargoce jak katarynka z Grinzingu. Łatwo się domyśleć — że albo Mitzi albo Betti przyłgnęła na całe życie do pana Józefa; i łatwo się pomylić! Nie podobnego! Kto romansów się spodziewa — tego zawód sportka! Owszem, pan Józef jest kompanem wymienitym, dzisiaj ze specjalną lubością wspomina bal w Schoenbrunnie, gdzie jakimś cudem, zapewne poprzez oficerów, dostał się na galowy, dworski wieczór. Odziany we frak zajechał wiedeńską doróżką przed pałac, na jednym ramieniu wiodąc Mitzi — na drugim Betti. Ach, to były czasy! Wir walców, strugi wina, pałace spojrzania, kryte skromnymi uśmiezkami.

Wiedeń był i jest pięknym miastem, podobał się panu Józefowi, lecz wtedy bardziej pociągała go stolica, skąd przychodziły barwne żurnale mód damskich, bardziej podniecał go Paryż, miasto uciech i miejsc pielgrzymek eleganckiego świata. Cóż więc dziwnego, że niespodziewanie żegna się z majstrem Zwolińskim, Mitzi i Betti, i choć niewiele tam liczną francuskiego, jedzie do wabiącego go miasta.

Po Paryżu był Londyn, Warszawa i Petersburg. O pierwszym da się powiedzieć: "zarobki były królewskie, ale powietrzem nie można było oddychać", o drugiej: "powodzenie i własny sklep przy Marszałkowskiej przewróciły w głowie", o trzecim: — "szpieg szpiegowi był szpiegiem i ni-



„...iż za górami świat szeroki i piękności wielkiej...”

mo, że pan krojczy ucziwej był profesji, gdyby nie austriacki paszport, nędzny koniec tamby go czekał”. Tak dosyta obrzydziwszy sobie Europę, przedewszystkiem jej wschód, pan krojczy myśli o Ameryce. Myśli i nie daje za wygraną! Wstępuje jeszcze do Krakowa powiedzieć czułe dowidzenia swemu bratu, który tymczasem suplentem został, zaś po latach doczekać się ma ziszczenia marzeń każdego takiego i zostać dyrektorem (sługa pana radcy!), zagląda do dawno niewidzianych kątów i drogą przez Le Havre, niebardzo mając podłe oszczędności, jedzie nie gdzieindziej, tylko do Nowego Jorku. Odrazu Fifth Avenue! Tam jest jak u siebie w domu. Chociaż jeszcze stęka ten mieszczący angielski, mimo to najniepotrzebniej w świecie, na swoją zgubę wstępuje do zrewolucjonizowanego cechu krawieckiego i wszystkimi językami jakie zna, podburza czeladników przeciw krwiopijcy z Piątej Alei. Finał, rzecz jasna, był żaloszny, tylko że Ameryka duża. Pan Józef nie mając jeszcze lat trzydziestu i mając zdrowie, siły, ochotę do życia, zapął do pracy, zjeżdża ten nowy, wspaniały świat wzdłuż i wszerz aż opiera się o Boston.

Najwyższy czas byłby ożenić pana krojczego i najwyższy czas, aby przytem wreszcie zakochał się nieuleczalnie na zawsze. Stało się to, stało, właśnie w Bostonie! Tam, jak kiedyś było mam danem na tych kartach pisać, mieszkał niejaki pan Antoni Krasieński, z zawodu stolarz o dziwnej przeszłości; był powstańcem poskim, wygnańcem z Ojczyzny,

szlachcicem. Ożenił się był imię Antoni Krasieński z Angielką. Mieli córkę, piękną i powabną. Ona to właśnie, jak przeznaczenie chciało, została panią Józefową Zwolińską.

W mroźny wieczór styczniowy przed przeszło pięćdziesięcioma osmiu lat pan Zwoliński, krojczy damski, pnie się stromą, wąską i starą uliczką Bostonu do domu czarującej panny Katarzyny Krasieńskiej, raczej, według przepisów etykiety, do jej rodziców. Wysoki, lśniący białością, wykrochmalony kołnierz koszuli, czarny krawat, czarny tużurek i spodnie w paski, jakie tylko angielscy eleganci nosili, świadczyły, iż pan Józef nie przyszedł do majstra sto-

W POPRZEDNIM 10(62) NUMERZE “TYGODNIKA POLSKIEGO”:

Ważniejsze niż Churchill; Arkady Fiedler: Smarownik Loza chce jeść; Zygmunt S. Klingsland: Mieczysław Treter; Tadeusz Strzelski: Rozmowa z “Pestkami”; Jan Rostworowski: Park wieczorny; Felicja Lilpop-Krancowa: O polskiej wystawie w Metropolitan Museum; Jan Lechoń: Nowa sztuka Cwojdziańskiego; Witold Hulnicki: Cud nad jeziorem Geneareth; Tygodnik dla kobiet; Opinie i zdarzenia.

larskiego z zamówieniem, lecz wręcz z prośbą, z prośbą o rękę Kasi. Szkoła się nad tem rozwozić: państwo Krasieńscy przyjęli go jak syna i w kilka tygodni później, w marcu roku 1885-go odbyło się huczne wesele. Niedługo po niem u zbiegu ulic Broad i Bradford w niewielkim wtedy mieście Providence stanu Rhode Island ukazał się potężny i pięknie malowany szyld “Joseph Zwoliński — The Ladies Tailor”.

Tutaj możnaby otworzyć nowy, obszerny rozdział opowieści o panu Józefie i pani Katarzynie Zwolińskich w Nowej Anglii, lecz historia ta już nie obfitowałaby w opisane emocje światowe, przeciwnie świadczyłaby o pożytecznym, przykładowym, pracowitym życiu dwojga ludzi, co imieniu polskiemu w Ameryce wiele dobrej sławy przysporzyli. Dosyć powiedzieć, że pan Józef, prócz prac fachowych, daje się porwać fali dopiero co zaczętych starań narodowych. Stwarza wraz z innymi pierwsze w mieście stowarzyszenie polskie, jeździ w różnych sprawach, słowem — “trzyma rękę na pulsie”. Pani Katarzyna ma inny świat, krąg jaki łatwo sobie wyimaginować: macierzyństwo. — Teraz niechże na widownię wejdzie liczący dzisiaj lat pięćdziesiąt i sześć pan inżynier Zwoliński mieszkający w Detroit, dalej pan adwokat Zwoliński, który po pełnej powodzenia karierze prawniczej w Providence rozstał się tam z życiem oraz niech pojawią się dwie córki, do dziś dnia odwiedzające ze swymi dziećmi i wnukami podsztych już wiekiem rodziców, nie w Providence, tylko w niedalekiem Wrentham w stanie Massachusetts osiadłych na małej farmie.

Tu cofnąć się wypada o lat kilkadziesiąt, kiedyto pan Józef decyduje się na sprzedaż swego zakładu i domu w centrum mastowem a za uzyskane pieniądze żyje w spokoju wraz z małżonką i dziećmi, instaluje się w ciszy wsi nowoangielskiej, innej chociaż od krościeńskiej, jednakowoż lubiej beztroską i sielskim spokojem. Od tego czasu stale, do dnia dzisiejszego, pan Józef i pani Katarzyna cieszą się silnym zdrowiem a kiedy ostatnimi czasy były pan krojczy po fatygował się do mnie, do najbliższego większego miasta i zwałwo wszedł na drugie piętro, “trzecią podłogą” przez wielu zwane, na pytanie, jak zdrowie pani? — odpowiedział:

— Bogu dzięki, dzięki Bogu! Anioł nie kobieta i powiadam szanownemu panu, piękniejszej nad nią niema do dziś na globie całym!

Jakże nie wierzyć panu Józefowi i jakże nie życzyć mu jeszcze długich, długich lat u boku “najpiękniejszej na globie całym” pani Katarzyny z Krasieńskich Zwolińskich?

ARKADY FIEDLER

SMAROWNIK ŁOZA CHCE JEŚĆ

(Dokończenie)

Przybiegł zdumiony lekarz.
— Jeść, psiakrew, mówię!... —
krzyczał Łoza rozsierdzony.

Lekarz zwrócił mu gniewnie uwagę na to, że pacjent, który zaledwie cztery dni temu prawie konał, powinien być spokojny, lecz na to Łoza obsypał go jeszcze gniewniejszym gradem słów, niemożliwych do druku. Obfite jedzenie zaszkodzi choremu, przedkładał lekarz, lecz Łoza posłał go do wszystkich jasnych piorunów i żądał zarcia.

Smarownik pod bandażami nie mógł się ruszać. Lecz z pozostałego prawego oka buchał taki płomień oburzenia i tyle pasji życiowej, że lekarza zatkało i niemal przeraziło.

Zwołali konsylium; radzili, dali mu, czego chciał. Jadł teraz befsztyki. Nie zaszkodziły mu; przeciwnie. Nabierał szybko zdrowia i sił. Urzeczeni, patrzeli na niego jak na cuda, pielęgnianki jak na bóstwo. On jadł jajecznicę, wcinał befsztyki, żarł wszystko i coraz lepiej się miał. Wygrał jakąś niezwykłą batalję.

W cztery tygodnie później polski statek, na którym jechałem ze Stanów Zjednoczonych do Brazylii, przepłynął szczęśliwie przez strefę niemieckich łodzi podwodnych na Karaibskim Morzu i wszedł poprzez cieśninę Boca do Port of Spain. W owym czasie Łoza musiał stać się sławny na całym Trinidadzie, bo zaledwie lekarz portowy przybył na nasz statek, zaczął nam dziwy prawić o niepokonanym rozbitku z M. S. Radłowa. Twarz lekarza zajaśniała nagle od zachwyty, gdy mówił o nieprzebranej, nieprzewyciężonej żywotności smarownika Łozy.

— Trumnę już na niego gotowaliśmy — śmiał się lekarz — a on tymczasem na czwarty dzień po operacji chciał lanie sprawić lekarzowi naczelnemu!...

Wtedy to ogarnęły mnie ciche wątpliwości, czy pochodnia, której ciągłość uosabiał przedtem M. S. Radłowo, naprawdę zginęła wraz z tym statkiem; a nuż przejęły ją inne, niezczeszłe dłonie i pochodnia przeszła w nieposkromioną krnąbrność życia polskiego smarownika?

V

Jak sięga pamięć jego przyjaciół, odznaczał on się zawsze wybitną, uczynną koleżeńskością. Nie było kolegi w biedzie, któremu nie pomógł. by ochoczo, bez namysłu, skoro tylko sam miał na to. Przeważnie miał, gdyż był pracowity i chociaż lubił



Na polskim statku

sobie popić, wiele zarabiał. W pracy był "honorowy", jak mawiali o nim, i rzucił posadę, gdy mu się coś nie podobało na statku.

Nie podobało mu się szorstkie nieraz obchodzenie z marynarzami. Łoza miał silnie wyrobione poczucie ludzkiej godności i gdy ją deptano, nie godził się, zżymał się i domagał sprawiedliwości. Miał odwagę mówienia głośno tego, co myślał. Wiadomo, że gdy powstaje wielki port, więcej w nim jest drapieżnych wilków i szakali niż szlachejnych gołębi i aniołów. Więc smarownik Łoza, właśnie że tak prawdomówny i odważny, nie miał w Gdyni łatwego chleba i nie był zbyt dobrze zapisany u góry.

Gdy go osobiście poznałem, opuścił już szpital i mieszkając jako rekonwalescent w hotelu Paris, mógł swobodnie chodzić po mieście. Wtedy statek mój leżał na redzie Port of Spain przez kilka tygodni, więc widywałem się z nim często i poznawałem go coraz lepiej. Wart był po-

znania. Był to człowiek o wyraźnym charakterze i niewątpliwym wdzięku.

Obok siebie miał stale kanadyjskiego marynarza, który postradał zupełnie wzrok i nie mógł ruszać się bez opieki. Nieszczęsna ta ofiara wojny przyłgnęła do smarownika jak dziecko do matki. Łoza prowadził go wszędzie za rękę i załatwiał za niego formalności z brytyjskimi władzami. Była w tej trosce wzruszająca wzniosłość: jednooki inwalida, cudzoziemiec, sam w niedoli z niezaleczonymi wciąż ranami, opiekował się słabszym od siebie kolegą i stawał w jego obronie. Typowy Łoza!

Lecz chociaż jeszcze nie wyleczony, już niecierpliwą myślą wybiegał naprzód. Snuł plany, miał już perspektywy. Uśmiechała mu się posada, zaofiarowana przez trinidadski kapitanat portu na wysmienionych warunkach. Miał sposobność wybicia się. Nie skorzystał. Postanowił jechać wpierw do Nowego Yorku, by mu wstawili sztuczne oko. Uderzała

w tym podłamany fizycznie człowieku jakaś pełna werwy wiara w przyszłość. Zamysły jego pulsowały zdrowym zapałem, szła od nich podbijająca śmiałość i ufność.

VI

Pewnego dnia zapytałem go, jak sobie wyobraża po wojnie swój powrót do Polski i w czym chciałby tam pracować. Czy w marynarce? Niewinne to pytanie jak gdyby nagle dotknęło w nim bolesnych strun. Twarz jego ściągnął wyraz goryczy, oko błysnęło niemalże wrogo.

— Nie wiem! Nie wiem!... — mruknął przez zaciśnięte zęby i nerwowym łykem wychylił całe podwójne whisky. Siedzieliśmy w barze hotelu Paris. Zapanowało między nami ciężkie milczenie. Widać, Łoza nosił wewnątrz siebie jeszcze inne rany, niż zadane niemiecką torpedą.

Wnet ochłonął. Potem opowiadał mi jedno z wielu swoich przeżyć marynarskich. Na pewnym statku polskim był kapitan raptus i gwałtownik. Kiedyś zbił kucharza, bo mu źle gotował jedzenie. Łoza, pracujący na tym samym statku, wstawił się energicznie za pobitym i nagle kapitan, który w duszy był niezłym człowiekiem, zmiękł. Rzekł do Łozy: "Czy napijesz się ze mną?" — "Z panem? Czemu nie?! — odpowiedział marynarz i sprawa na statku ucichła.

Nie na łodzi. Pobity kucharz poszedł do biura linji z prośbą o przeniesienie go na inny statek. Tu dwóch dyrektorów wpadło na niego "z pyskiem". Łoza, który był obecny w biurze, oznajmił, że może świadczyć w sprawie kucharza. "Nie wtrącać nosa do nieswoich rzeczy!" fuknięto na niego. "Przepraszam..." zawarczał urażony. Jednego z dyrektorów chwyciła nagła wściekłość, i huknął na Łozę: "Pam jest złamany... nie marynarz!" "To pan się przedstawia!" odkrzyknął Łoza. Kucharz przeszedł na inną linję okrętową.

Gdy słuchałem tego opowiadania, mniej zajmowała moją uwagę jego treść, chyba przesadzona, natomiast odkryłem z osłupieniem bezmiar goryczy, przenikający duszę smarownika. Był on przepojony trucizną, która sączyła się w nim z dawnych, mrocznych czasów i zaśnaniała mu na przyszłość wzrok, ów biedny, jednooki wzrok. Zdjęła mnie litość, lecz zarazem jakaś rozpaczliwa pasja.

— I dlatego nie chce pan wracać do kraju? — krzyknąłem.

— Tak, dlatego! — odkrzyknął nagle zaperzony, zacierzewiony.

— Głupstwo! Jeden czy drugi skurczybyk nie może zamykać drogi powrotnej! — wrzasnąłem.

— Nie może?! — odwrzasnął. — Czy taki jeden nie ma tysiąca rąk, którymi nadal dusić będzie gardła innych ludzi?...



.....a ja wrócę do Gdyni!"

Naraz umilkliśmy. Sąsiedzi w barze zaczęli na nas spoglądać. Opanowaliśmy uniesienie.

— Tysiąc rąk — to mazurska przesada! — rzekłem po chwili spokojniej, pojednawczym głosem, z uśmiechem.

To była przesada; uznał to nawet smarownik. Zaśmialiśmy się i wróciła znów pogoda.

Już nigdy nie powtórzył się podobny wybuch, jakkolwiek spotykaliśmy się często. Lubiliśmy rozmawiać ze sobą i raz po raz przewracaliśmy świat do góry nogami. Szanowałem jego kompleks obolałej przeszłości i nigdy go nie dotykałem. Miał smarownik wewnętrzne rany, lecz ponieważ był zdrową z gruntu naturą, dostrzegał je i czuł ich szkodliwą obcość. Widać było, że starał się je przyzwyciężyć. Był pełen wątpliwości i zmagania i walki, którą ze sobą toczył. W tym okresie potrzebne mu były nasze wspólne rozmowy, proste lecz zarazem tak bardzo ludzkie.

Coprawda nie mogłem mu wiele pomóc, bo była to rzecz bardzo osobista, wyłącznie jego własna. Nie-

łatwo pozbyć się zakorzenionych głęboko zawziętości. Lecz on zaczął ich się pozbywać. Był to mocny typ o niewyczerpanych zasobach wewnętrznego zdrowia. W miarę, jak zarastały jego cielesne rany, wygładzała się i krzepła jego dusza. Nawet zdawało się, jak gdyby dopiero po tragicznych przejściach na statku, zajrzeniu śmierci w oczy, smarownik Łoza nabierał większej, niż poprzednio, siły i rozpędu życiowego i na nieugiętych stawał nogach. Nie ulegało już chyba wątpliwości: niezniszczalną pochodnię M. S. Radłowa przejął on, smarownik Łoza.

Gdy kiedyś, krótko przed naszym wyjściem z Port of Spain, siedziałem w towarzystwie jego i kilku marynarzy z naszego statku, rozmowa zeszła, jak zwykle, na temat przyszłości. Wówczas odezwał się łagodnym głosem smarownik Łoza:

— A ja wrócę do Gdyni. Pracować będę na holowniku...

Nikt z obecnych marynarzy nie domyślał się, ile brzemiennej wagi i przebytej walki tkwiło w tych zwykłych, pozornie tak prostych słowach.

Polska Podziemna widziana oczami angielskiego malarza

(Według opowiadań oficera Armji Krajowej, przybyłego do Londynu)



W piśmie angielskim "The Illustrated London News" ukazały się znakomite rysunki kpt. Bryan'a de Grineau, przedstawiające sceny z życia i walki Polski Podziemnej. Malarz oparł się na opowiadaniach oficera Armji Krajowej, który po czterech latach służby w siłach zbrojnych, walczących w Polsce z okupantem niemieckim —



przybył z meldunkiem do Rządu Polskiego w Londynie. Cztery zamieszczono w piśmie rysunki to cztery etapy cierpienia Kraju i rozpaczliwej, ale nieustannej walki z wrogiem, prowadzo-

nej przez zorganizowane siły Polski Podziemnej, która — poza oddziałami umundurowanymi Armji Krajowej i formacjami dywersyjnymi — posiada własne trybunały, wydające

wyroki na zbrodniarzy niemieckich, stacje radjo-we, szkoły, uniwersytety i organa prasowe. Liczne organizacje Polski Podziemnej działają pod boki-

Gestapo, uprawiając sabotaż, dywersje, karając winnych zbrodni, wychowując młodzież i pozostając w ścisłym kontakcie z Rządem Polskim w Londynie. Ruchem podziemnym kieruje jego Delegat.



U GÓRY: Na ulicach miast polskich nie jest się pewnym ani dnia ani godziny. Codziennie rewizje — codziennie "łapanka" i deportacje na roboty przymusowe do Niemiec.

PO PRAWIEJ: Sąd nad oficerem policji niemieckiej, zebrany w mieszkaniu oskarżonego, z udziałem prokuratora i obrońcy z urzędu. W mieszkaniu tem wykonany został również wyrok śmierci, wydany po rozprawie. Sady polskie działają sprawiedliwie i precyzyjnie.



U GÓRY: Wykonanie wyroku nad Burcklem, gubernatorem więzienia na Pawiaku w dniu 7 września 1943 r. przez oddział egzekucyjny, przebrany za grajków ulicznych.

PO LEWEJ: Polski pluton egzekucyjny opuszcza biuro kierownika niemieckiego Urzędu Pracy, po wykonaniu wyroku w dn. 11 kwietnia 1943 r. Przechodzący SS-Mann chce dobyć rewolweru — drugi go wstrzymuje, wskazując wzrokiem na otaczających ich Polaków.

WOJCIECH ŚWIĘTOSŁAWSKI

(z cyklu "Odbudowa Polski")

INŻYNIEROWIE POLSCY NA EMIGRACJI

W historii rozwoju techniki polskiej, obejmującej lata 1919-1939, znaleźć się powinien również rozdział o pracach inżynierów polskich na emigracji w latach wojny światowej. Rozdział ten zawierać będzie materiały, który dumą napełniać będzie serca polskie.

Inżynierowie polscy znaleźli się na początku swej tułaczki w warunkach niezmiernie trudnych. Prawodawstwa krajów, do których przyjechali, nie były dostosowane do tego typu emigrantów. Wielu z nich nie znało języka lub znało język kraju do którego przybyli w stopniu niedostatecznym. Nie znali metod pracy stosowanych w danym kraju, nie znali stosunków, napotykali raczej na niechęć i uprzedzenie tych, którzy mogli im dać pracę. Mimo to wszystko, można śmiało twierdzić, że inżynierowie polscy są obecnie najlepszą żywą propagandą imienia polskiego. Inżynierowie nasi wykazali wielką pracowitość, doskonale przygotowani do pełnienia swych obowiązków, a wielu z nich zdołało wykazać, że potrafią pracować twórczo.

Inżynierowie polscy wykazali też, że posiadają zdolności organizacyjne. Już na terenie Francji, byli oni skupieni w stowarzyszeniu inżynierów i techników polskich. Obecnie posiadają trzy organizacje zawodowe: — "Stowarzyszenie Techników Polskich w Wielkiej Brytanii", "Stowarzyszenie Techników Polskich w Kanadzie" i "Polonia Technica" w Stanach Zjednoczonych. Stowarzyszenia te prowadzą ożywioną działalność i przygotowują się pod każdym względem do odpowiedzialnej i niezmiernie trudnej pracy, która ich czeka po powrocie do Kraju.

W rzeczywistości nie znamy strat w siłach inżynierskich, które poniosła Polska w czasie wojny zarówno na polu bitew, jak też w czasie bezprzykładnego tępienia inteligencji przez Niemców i przez bolszewików. Setki inżynierów musiało zginąć w obozach koncentracyjnych i wielu z nich rozstrzelano. Wielu zginęło na Syberji, gdzie pracowali ciężko w warunkach głodu i chłodu, bez należytego odzienia.

Uczelnie techniczne polskie stoją bezczynne od r. 1939. Najlepiej zorganizowane kursy skrócone i dokształcające nie zdołają wykształcić inżyniera w terminie wcześniejszym niż w trzy lata. Stąd wynika, że na inżynierów, którzy pozostali przy życiu w kraju oraz na tych, którzy z

emigracji powrócą, spadną nieproporcjonalnie obowiązki. Będą musieli nie tylko Polskę odbudowywać, ale wziąć czynny udział w dokształcaniu i nauczaniu młodzieży w zawodach z techniką i inżynierją związanych.

W obu działach tej pracy inżynierowie powracający z emigracji stanowią bezcenny materiał ludzki. Przywiozł z sobą zdobyte doświadczenie, znajomość stosunków i wiedzę techniczną, wzbogaconą o nowe postępy i nowe metody pracy. Wszyscy przywiozł z sobą znajomość języka oraz nawiązane kontakty ze sferami technicznymi kraju, do którego emigrowali. Wszystkie te cenne zalety, posiadane przez inżynierów polskich na emigracji, powinny być należycie wykorzystane przez Rząd Polski oraz przez społeczeństwo natychmiast po wojnie.

Nie mogąc dać pełnego obrazu tego, czego dokonali nasi inżynierowie na emigracji, przytaczam kilka przykładów zaczerpniętych niemal wyłącznie z działalności inżynierów polskich na terenie Stanów Zjednoczonych.

Z pośród wynalazców w zakresie metalurgii i metaloznawstwa najwybitniejszy jest niewątpliwie inż. Tadeusz Sędzimir. Jest on wychowankiem politechniki lwowskiej i zajmuje obecnie stanowisko wiceprezesa Tow. "Armzen" w Middletown, Ohio. Inż. Sędzimir wynalazł nową metodę walcowania blach i pozatem wynalazł nową metodę krycia blach cienkimi warstewkami metali, zabezpieczających blachę przed rdzewieniem. Oba wynalazki znajdują obrotowe zastosowanie w przemyśle metalowym, zwłaszcza w czasie wojny.

Inż. Tadeusz Janiszewski jest wychowankiem i byłym asystentem politechniki warszawskiej. Specjalizował się w budowie mostów u prof. Andrzeja Pszenicznego, jednego z najlepszych specjalistów w tym dziale inżynierji. Wynalazł on nowy typ mostu, który się składa z kilku załadowanych elementów, produkowanych masowo. Mosty takie mogą być budowane w ciągu trzech lub czterech godzin i ustawione niezmiernie szybko tam, gdzie tego wymaga potrzeba. Jak dalece ceniony jest inż. Janiszewski, dowodzi fakt, że wezwano go do obliczenia mostu na Alasce. Wynalazek inż. Janiszewskiego zakupiono za nim patent udzielony został przez Biuro Patentowe.

Na terenie Kanady przebywa obecnie Prof. Bolesław Szczeniowski.

Jest on znany dzięki wynalazkom w dziedzinie motorów spalinowych. Pracował we Francji nawet wówczas, gdy wydany został zakaz przyjmowania inżynierów polskich do fabryk francuskich. W parę tygodni po przyjeździe do Kanady, Prof. Szczeniowski zaproszony został do objęcia stanowiska profesora politechniki w Montrealu.

Na terenie Kanady pracuje również wybitny znawca konstrukcji aeroplanów, prof. politechniki warszawskiej Gustaw Mokrzycki.

W Filadelfji pracuje nad realizowaniem w wielkiej skali technicznej swego wynalazku inż. Wacław Szukiewicz, wychowanek politechniki warszawskiej, współpracownik Chemicznego Instytutu Badawczego w Warszawie. Inż. Szukiewicz opracował w Polsce metodę otrzymywania jednego ze składników sztucznego kauczuku i na podstawie jego pracy wybudowana została w Polsce w Mielcach, mała wytwórnia sztucznego kauczuku.

Polski sztuczny kauczuk wyrobiany był z jednego tylko składnika a nie dwóch jak w Niemczech i Ameryce. Wyniki prób kauczuku z jednego składnika były całkiem zadowalające.

Inż. Konstanty Puchłowski pracuje w fabryce Westinghouse'a w Pittsburgu. Jest on wychowankiem politechniki warszawskiej. Jako elektrotechnik dokonał ciekawego wynalazku w zakresie prostowników prądu. Posiada też prace naukowe w zakresie elektrotechniki. Inż. Puchłowski ceniony jest także jako tłumacz książek technicznych z innych języków na język angielski.

W Nowym Yorku wykłada na Columbia University znany specjalista z technologii ropy, docent politechniki lwowskiej dr. Antoni Szayna. Również w Nowym Yorku pracuje naukowo i technicznie inż. Bolesław Wojciechowski i Z. Krzywobłocki, ten ostatni na politechnice w Brooklynie.

W Chicago i stanie Illinois pracują młodzi elektrotechnicy polscy Magnuski i Hirsband-Maciszewski oraz inżynierowie-mechanicy Zwierzchowski i Eberhardt.

Wybitną siłą naukową, pracującą w dziedzinie fizyki stosowanej jest dr. Roman Smoluchowski, syn słynnego fizyka polskiego prof. Marjana Smoluchowskiego. Dr. Smoluchowski znalazł zastosowanie dla swej wiedzy

w General Electric Co. w Schenectady, N. Y.

Zagadnieniami technicznymi zajmuje się przygodnie profesor fizyki w Chicago dr. Stanisław Mrozowski. Był on docentem fizyki na uniwersytecie warszawskim. Wojna zastała go w Kalifornji, dokąd się udał celem zapoznania się z nowymi metodami pracy, z tak zwanym cyklotronem. Dr. Mrozowski jest wybitnym specjalistą w zakresie badania widm atomowych.

Zaznaczam, że lista ta nie jest kompletna. Są to tylko przykłady specyfności w jakich pracują inżynierowie i badacze naukowcy w ten czy inny sposób związani z techniką. Gdyby lista ta była kompletna, mielibyśmy obraz tego, jakich specjalistów mamy w Stanach Zjednoczonych i jak się rozwija ich praca. Należałoby je uzupełnić danymi z Kanady i Wielkiej Brytanji. W Kanadzie pracuje około dwustu inżynierów, w Anglii zaś znacznie więcej. Zapewne

w wielu przypadkach należałoby pominąć szczegóły, dotyczące zatrudnienia, gdyż wielu inżynierów polskich pracuje na polu wojskowym.

Wydaje się jednak, że przytoczone nieliczne przykłady świadczą aż nadto wymownie, że inżynierowie polscy znajdujący się na emigracji stanowią istotnie bezcenny materiał ludzki, który powinien być wyzyskany w kraju natychmiast po wojnie i to w sposób najbardziej racjonalny i celowy.

WŁADYSŁAW GIEYSZTOR

SZARE DNI WYGNAŃCZE

Mija dzień za dniem. Minęło ich już tak wiele od czasu, gdy skończyła się polska sielanka: dni niepokoju, niepewności, rosnącej zawziętości i determinacji a potem krótkie dni entuzjazmu i wiary, a potem znowu dni rozpacz i rozterki. Aż przyszedł w końcu te dni najgorsze: długie szare dni niemocy, bezsilności i oczekiwania, dni poza nawiasem życia.

I tak suną powoli jeden za drugim rozpaczliwe, niekończące się dni wygnańcze, bez zmiany, bez kresu, bez nowości.

Niema też nowości z dalekiej i coraz dalszej Polski. Już nie jako nowość ale jako zwyczajna rzecz przychodzi co jakiś czas głucha zła wieść o kimś z bliskich w kraju. Wpisuję potem jeszcze jedno nazwisko na długą listę moich umarłych, albo na inną listę — kto wie, może nawet gorszą: zamkniętych w obozie koncentracyjnym, zabranych do Niemiec na przymusowe roboty, wywiezionych przez bolszewików w głąb Rosji.

Dziwna rzecz. Oto już piąty rok wojny a jeszcze nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. Dzień zamienił się z nocą. Dzień — to koszmar, zmora, zły sen; w nocy wciąż jeszcze wracają dawne obrazy, przychodzą dawni ludzie. Tylko, że ostatnio i w nocy pojawiać się zaczęły jakieś ponure zjawy z naszej nieprawdopodobnej rzeczywistości. Coraz bardziej urywa się początek, nie widać końca. Przemięszało się wszystko. Niby żyjemy — ale doprawdy czasem nie wiem, czy obecne życie to rzeczywistość, czy fikcja. Polska i nasi w Polsce tak daleko — a przecież czasem wydaje się, że to właśnie nigdy nie było takie bliskie, tak bardzo w sercu, jak teraz. Daleka rzeczywistość i tak boleśnie bliska troska o kochanych ludzi i o ziemię — hen na krańcu świata!

Szedłem dziś w nocy przez łąkę i wiedziałem, że idę po polskiej ziemi — szczęśliwy, silny i beztroski, jak za dawnych lat. Czy to sen czy rzeczywistość? Za silne to na sen, za

autentyczne zapachy, za wyraźne czołbry. Wdę każdą śrubkę, każde nacięcie mego stucera, leżącego jak zwykle na zgięciu lewej ręki. Wyszedłem na polowanie. Idę teraz brzegiem lasu — "poza lesie", jak mówił stary leśniczy Paukszta. Potężne sosny obrzeżają łąkę. Ich szaro-brunatne pnie, mocno osadzone w ziemię, symbolizują zdrowie i siłę, majestacyjne korony prężą się wysoko w górze.

Ale przecież teraz coś przemieniło się w tym obrazie! Jeszcze słońce nie weszło nad łąką a już skądś idzie ciemność. Gdzie podział się kobierzec łąki, dlaczego znikły cudowne zapachy ziemi polskiej, skąd ostatniej ten męczący a tak znany niepokój? Pień barczystej sosny jest jeszcze, wzrok czepia się z uporem szaro-brunatnego pancerza kory, jakby ostatniej rezyduty dobrego światła ale z lasu idą już jakieś hałasy. W głębi przeszedł człowiek. Odwrócił się, spojrzał niewidzącym wzrokiem — i poszedł. Skąd znam tę twarz?

Sen znikł. Za oknami obcego zajazdu szumiła szosa.

Przyszedł nowe sny. Tej nocy obrazy były jakoś dziwnie plastyczne. Nie wróciła jednak już więcej łąka polska i nie wróciło beztroskie uczucie. Jakiś ciężar dławił, coś ścisnęło skroń. Przyszedł jacyś ludzie, dużo ludzi — i mówili. Byli źli i zagniewani. A ja wiedziałem, że nie mogę im ustąpić i zawzięciem się. Byłem o coś bardzo oburzony i czemś bardzo rozczołowany. Starałem się ludziom coś tłumaczyć — i nie wiedziałem jak. Mój gdyński współnik, Kurecki, uspokajał mnie, radził ustąpić i mówił: — "Mnie Niemcy rozstrzelali za to właśnie, że nie chciałem ustąpić. Bardzo byłem wtedy zmęczony" — dodał. Obudziłem się znowu i powiedziałem głośno: — "Nie ustąpię". — I znowu usnąłem ale nieznośny niepokój poszedł za mną przez wszystkie dalsze ciężkie sny.

Dziesięć godzin spałem tej nocy.

Wstałem połamany. Za oknem sunął nieprzerwanie sznur samochodów.

Zaczął się dzień — jeszcze jeden szary dzień. Ulica tego dnia była tak samo zatłoczona i hałaśliwa, jak ulica z obrazu nocnego. Obrazy dzienne były tak podobne do obrazów nocnych. Szare życie szło równem nieprzerwanym pasmem, bez dnia i nocy, bez jutra.

— "Nie wolno poddawać się złym nastrojom" — powiedziałem dziś przyjacielowi, gdy skarżył mi się na swoje szare dni. — "Naturalnie" — odpowiedział — "Nie powinniśmy upadać na duchu". — Spojrzeliśmy sobie w oczy. Wiedzieliśmy obaj, że przerwaniem pasmem, bez dnia i nadziejne dni i że dowiedzimy do wyzwolonej Polski siłę i wiarę. Nawet uśmiech.

— "Pamiętaj zawsze" — dodał po chwili przyjaciel — "że nasi w Polsce cierpią więcej niż my".

Czy to prawda? Czy można nie-szczęście mierzyć, ważyć, porównywać?

Gdy jeszcze przychodziły listy z Polski, moja siostra napisała mi kiedyś: — "Nie myśl, że nie zdajemy sobie sprawy, co musi dziać się u Was. Doprawdy nie wiem, komu dziś jest gorzej: nam tutaj, czy Wam wśród obcych, poza walką".

Mówiłem dziś przyjacielowi memu: — "Nad nimi dzień i noc wisi groźba śmierci — a my tu bezpieczni. My mamy co jeść — a oni głodują. Oni są w gorszej poniewierze, niż my. To wszystko prawda. Ale oni są w walce, są w gromadzie, są u siebie, widzą polskie słońce, słuchają polskich skowronków, do nich nie do nas przylatują co wiosną polskie bociany! Oni czerpią siły z zapachów polskiej ziemi!

I oni nie wiedzą, co z duszą polską zrobić potrafi obłąd beznadziejnej tęsknoty, co znaczy ślepotą na obce piękno, na obce słońce, nie wiedzą, jak wielką jest męka szarych tułacznych dni, dni poza życiem."

Przyjaciel milczał.

TYGODNIK DLA KOBIET

(pod redakcją pani Wandy)

GŁOS MIŁOSIĘRDZIA



Prezydent Roosevelt wyznaczył marzec jako Miesiąc Czerwonego Krzyża — Miesiąc Armji Miłosierdzia. Armja ta woła do wszystkich obywateli kraju, do których głos jej sięga:

“Stoję przy boku waszych synów, ojców, braci i meżów w wojną rozszalałym świecie. Przynoszę środki, kojące ból; przynoszę życiodajną plazmę rannym. Stoję nad nimi z noszami i służę pomocą lekarską. Istnieje poto, by ratować ich życia.

Gdziekolwiek widzicie mój sztandar — to znak, że jeszcze żyje cywilizacja w tym przepojonym nienawiścią świecie.

Przynoszę pomoc wszystkim. Nie znam różnic narodowych, religijnych ani rasowych.

Byłam na Florydzie w roku 1887, Johnstown w r. 1891 i w South Carolina w r. 1893; byłam w Rosji w 1896 r., na Cubie w 1898 r. i w Galveston w 1900 r.; brałam udział w wojnie światowej 1914 - 1918 i dziś przynoszę ulgę, przywracam życie rannym na polach walk.”

Tem głos z pewnością dotrze do serc wszystkich. Popierajcie jaknajusilniej Amerykański Czerwony Krzyż! Ofiarujcie — ile tylko możecie! Umożliwcie mu tę wielką i towniczną pracę na polach walk!

Pamiętajcie! W najcięższych chwilach, jakie żłnierz na froncie przeżywa, w chwilach kiedy najbardziej Was potrzebuje — Czerwony Krzyż jest przy jego boku.

NOWINY DLA GOSPODYŃ

Pani z pewnością się ucieszy wiadomością o inowacji, jaką nowoczesna wiedza przynosi dla jej wygody i pożytku.

Z dalekiego, słonecznego Południa, gdzie kwitną pomarańcze i cytryny,

nadszedł wynalazek, polegający na produkowaniu skoncentrowanego soku z cytrym. Każdy wie, że cytryny zawierają w sobie dużą ilość wielce pożytecznych dla organizmu minerałów, odznaczających się bogactwem witamin. Dlatego sok cytrynowy, dodany do każdej potrawy lub napoju, znacznie zwiększa ich pożywność. Nowy produkt koncentracja świeżego soku cytrynowego, znacznie ułatwi gospodyniom częste używanie tego owocu. Przyrządzając cocktail, lemoniadę, czy inne zimne napoje, przy pieczeniu tortów, przyrządzaniu kremów, lodów, czy do herbaty — mała ilość skoncentrowanego soku cytrynowego zwiększy wartość odżywczą i doda smaku każdej potrawie.

Duże pudło kryształów cytrynowych zawiera w sobie w formie skoncentrowanej sok ze stu cytrym. Cena jego wynosi zaledwie 2 dolary.

Zainteresowanym czytelniczkom chętnie podam nazwę firmy, w której można zamówić “Shake King Crystals”. Listy proszę kierować na adres naszego pisma.

Do pieczenia, gotowania, do herbaty i innych napojów — ten nowy produkt doskonale się nadaje, zastępując świeże cytryny, ocet lub kwas cytrynowy. Używajcie skoncentrowanych kryształków cytrynowych a przekonacie się, ile korzyści i wygody wam zapewni ten znakomity produkt.

KALENDARZYK KUPONÓW

Konserwy: Zielone kupony książeczki Nr. 4 są ważne do 20 marca. Niebieskie kupony A8, B8, C8 i E8 są ważne do 20 maja. Każdy z tych niebieskich kuponów posiada wartość 10 punktów.

Mięso, tłuszcze jadalne, masło, sery oraz konserwy rybne i mięsne:— Z kuponów brązowych książeczki Nr. 3: Y i Z ważne są aż do 20 marca. Czerwone kupony książeczki Nr. 4: A8, B8, C8 — są ważne do 20 maja.

Cukier: Kupon 30 w książeczce Nr. 4 upoważnia do nabycia 5 funtów cukru w okresie do 31 marca. Za kupon 40 można nabyć dodatkowo 5 funtów cukru na konserwy.

Obuwie: Kupon 18 w książeczce Nr. 1, oraz kupon “samolotowy” Nr. 1 w książeczce Nr. 3. upoważniają do nabycia obuwia bez ograniczenia w czasie.

Resztę z niebieskich i czerwonych kuponów otrzymuje się teraz w krążkach czerwonych i niebieskich, które, aczkolwiek nie zostały należycie zrozumiane przez ogół, z biegiem czasu niezawodnie ułatwią cały system kartkowy, który składać się będzie jedynie z książeczki Nr. 4.

Nie wystarczy czytać
“Tygodnik Polski” —
należy go
prenumerować!

WATER LILY CLEANSING CREAM

individualized for mature skin..

Helena Rubinstein

Krem specjalnie dostosowany dla dojrzałej cery. Przyrządzony z leczniczych, wygładzających skórę olejków, jest wspaniałym środkiem do pielęgnacji suchej cery. Odczyszczają skórę dokładnie z pudru, różu, pyłu, oraz wszelkich innych osadów. Cena dużego słoika wraz z podatkiem \$1.10.

Do nabycia w lepszych składach aptecznych lub wprost od firmy



HELENA RUBINSTEIN, Polish Dept.

715 — 5th AVENUE, NEW YORK, N. Y.

PRZEPISY SMETERLINA

Znany polski pianista Jan Smeterlin jest — o czym nie wszyscy wiedzą — znakomitym kucharzem. Niebawem ukaże się w druku jego książka "For greedy people", w której pisze on: "u niektórych ludzi łakomstwo silniejsze jest niż lenistwo. U innych lenistwo bierze górę nad łakomstwem. Ja zaś zwracam się do tych pierwszych"...

Smeterlin gotuje z zamiłowaniem i uważa to za idealny odpoczynek po ćwiczeniach fortepianowych; jego przyjęcia słynne są na cały Boston. Oto np. kilka cennych kucharskich wskazówek: "Źle jest nadużywać mąki przy gotowaniu, do zgęszczenia sosu brać jej bardzo mało i dostatecznie podgotować, nim się poda. Odrobina tartego sera zgęszcza sos bodaj że jeszcze lepiej. Do każdej mocno przyprawionej potrawy dodać szczyptę cukru a do każdej słodkiej szczyptę soli; do wszelkich sosów trochę cytrynowego soku. Gdzie w przepisach wskazane jest sherry, użyć raczej białego wina (lobster Newburg, zupy itp.). Pieczoną baraninę, gdy już prawie gotowa, nasmarować masą z siekanej pietruszki, tartej bułki i masła, przyprawioną solą, pieprzem i sokiem z cytryny, poczem znów wstawić do pieca. Schab, który należy piec bardzo wolno, obsypać kminkiem przed ostatecznym zarumienieniem skóry. Używając do gotowania masła, należy odróżnić kolejne fazy: masło stopione, szumujące, i zrumienione, każde bowiem nada potrawie innego smaku.

Grzybki i zucchini à la Smeterlin (na cztery lub pięć osób): Obrąć i pokroić wzdłuż trzy ówierci funta pieczarek, wytrzeć (nie zdejmować łupiny) dwa funty małych zucchini. Utrzeć na tarce jedną cebulę i włożyć na patelnię z łyżką stołową masła. Po kilku minutach dodać pokrajanych grzybków, kilka łyżek consommé lub buljonu, szczyptę cukru. Gdy grzybki już się gotują, wkrajać zucchini w grube talarki, wycisnąć sok z cytryny, nakryć naczynie i dusić. Po 10 minutach dobrze wymieszać, wsypać garstkę tartej bułki i łyżeczkę śmietanki. Jeszcze 10 minut i będzie gotowe.

Ryba à la Smeterlin. Ryba musi ważyć dwa i pół do trzech funtów. Może być haddock, bass, lub inna, nazwiemy ją Michał. Trzeba ją oczyścić, pozostawiając głowę i ogon i nie zdejmując skóry. Wewnątrz mocno posolić i włożyć kawałek masła.

Położyć na brytwannie, oblać sokiem z cytryny i obłożyć dwoma obranymi i pokrajanymi pomidorami, trzema pokrajanymi cebulami i mnó-



Świetny pianista polski Jan Smeterlin przy pracy gastronomicznej w swojej kuchni

stwem zielonej pietruszki, świeżego estragonu (a w braku tego, tymianku), pokruszyć też laurowe listki (bay leaves). Wylać na to pół szklanki wytrawnego białego wina i trochę consommé. Brytwannę wkładamy do pieca uprzednio rozgrzanego do temperatury 375 stopni. W ciągu pół godziny pieczenia polewamy rybę od czasu do czasu. Gdy już dochodzi, podnieść ogień żeby ją zarumienić, dodając buljonu, jeżeli za sucha.

Gdy gotowa, wyjąć na gorący półmisek, do brytwanny zaś wlać więcej wina i buljonu i dobrze wymieszać, poczem sos, wraz z jarzynami, przetrzeć przez grube sito, wylać na rybę i podać.

"Lecz gdy idziecie do restauracji — mówi Smeterlin — nigdy nie jedźcie sosów, ani zapiekanek, tylko gotowane potrawy. To o wiele pewniejsze, a tamto lepiej zrobicie sami w domu."

MIRA GRELICHOWSKA

CO WIEM O LWOWIE

*Wiem, że ma Stryjski Park,
zieleńszy, niż włoskie Tivoli,
że drzewa są tam piękniejsze
od pęków palm i magnolij...
Że Łyczakowski cmentarz
pięściem kwiecistych kopców
otoczył żołnierskie serca
piętnastoletnich chłopców.
Że w oknach starych kamienic
stawiano karabiny
i wszystkie wtedy na Gródku
ucichły mandoliny...*

*Wiem również, że do tej karty
dopiszą inne wspomnienia:
— rok dziewięćsetny czterdziesty
o szarych murach więzienia.
Że wtedy pani Przednówek,*

*która ma sklepik z wędliną,
biegała z paczką i z sercem,
aby się dzielić z sąsiadką.*

*Wiem, że w tym mieście uśmiech
biegł zawsze śladem piosenki,
wiem, że znoszono kwiaty
przed ołtarz Świętej Pani —
I wiem, że trudno na świecie
będzie o takie skarby,
któreby z tego miasta
ślady cierpienia starły...*

*Wiem też, że na Wasz Powrót
ze szczęścia się rozplączę — —
Jednego tylko nie wiem,
czy z Wami to zobaczę — — —*

O P I N I E I Z D A R Z E N I A

TYDZIEŃ WARSZAWY

Od tragicznych dni września 1939 Warszawa jest stale w pierwszej linii boju. Odgłos walki, huk strażów nie ustaje. Tak zwanego "normalnego życia" niema. Warszawa jest polem codziennej walki żołnierzy Polski Podziemnej z niemieckimi zbirami.

Jakże wygląda tydzień w Warszawie?

Oto dotarł do nas numer tajnego pisma z Polski. Jest w nim rubryka "Tydzień Warszawy". Tydzień z października 1943 roku.

Pierwsza notatka: "Komunikat Nr. 18". — Kierownictwo Walki Podziemnej podaje: "Dnia 2.X.1943 w godzinach rannych w Warszawie o bok gmachu Gestapo przy al. Szucha zastrzelony został kapitan Gestapo Lechner, kierownik wydziału walki z sabotażem i dywersją".

"Tragiczne dni" — oto tytuł drugiej, dłuższej notatki. Podaje ona wiadomość o codziennych egzekucjach zakładników. "Naturalnie bestjalska akcja represyjna nie spacyfikowała Warszawy" — stwierdza pismo z mocą.

Dalej informacje o prowokacjach niemieckich: "Stwierdzono, że na Powiślu o 4-tej nad ranem policja okupacyjna podrzuciła zwłoki niemieckiego żołnierza, aby "usprawiedliwić" nowe akty teroru, jakie uknuła przeciw mieszkańcom stolicy Polski".

"Bitwa na Pradze" — to tytuł ostatniej notatki. W październiku na przejeżdżające samochody z policją padają przy kościele św. Florjana liczne granaty. Dla niemieckiej policji jest to prawdziwa masakra. Wzywają pomocy. Żandarmi zajmują stamowiska w oknach szpitala Przemienienia Pańskiego i na dachach pobliskich domów, strzelając z karabinów maszynowych. Polska grupa bojowa, która dokonała zamachu — odpowiada silnym ogniem. Obustronna strzelanina trwa przeszło pół godziny.

Wśród Niemców było wielu zabitych i kilkunastu rannych. Wśród ludności cywilnej kilkunastu zabitych.

Tak płynie życie Warszawy. Życie codzienne... Oto fakty z jednego tygodnia. Jednego z wielu od przeszło czterech lat. Obrona Warszawy trwa. Nie skończyła się z wkroczeniem wojsk niemieckich i trwać będzie aż do upragnionej chwili zwycięstwa.

Niezłomność ta ma oczywiście także swoją wymowę polityczną. Naród zaprawiony w codziennych bojach, nie podda się w żadnej batalii toczonej przy stole konferencyjnym. Warto o tem pamiętać i warto przypominać.



Ludność Warszawy wyprzedaje resztki swego mienia

GÓRĄ NASI MARYNARZE

Jednostki Polskiej Marynarki Wojennej wykonały ostatni szereg zwycięskich operacji na morzu Egejskim i Śródziemnym.

Polski okręt "Ślązak" został odznaczony przez brytyjską admiralicję za okazanie "inicjatywy bojowej oraz waleczność i za doskonałą walkę przeciwko nieprzyjacielskim siłom powietrznym". "Ślązakowi" powierzono dowództwo nad brytyjską flotyllą kontrtorpedowców w jednym z konwojów na morzu Śródziemnym.

Inny polski okręt "Krakowiak",

który brał udział w operacjach pod Salerno oraz około wysp Dodekanejskich, dokonał zwycięskich operacji w obronie konwoju w bitwach z niemieckimi łodziami podwodnymi.

Okręty polskie, które tworzą część brytyjskiej Floty Śródziemnomorskiej, obecnie zajmują się ochroną konwojów łączy do Włoch i biorą udział w walkach morskich z nieprzyjacielem.

Należałoby życzyć sobie, by wiadomości o walkach marynarki polskiej były bardziej znane wśród opinii świata. Walczymy świetnie, tylko o walkach tych głucho...

JESZCZE O LINJI CURZONA

W londyńskiej "Polsce Walczącej" Adam Pragier, polemizując z argumentami, spotykanymi w prasie socjalistycznej, pisze:

"...W publicystyce brytyjskiej można spotkać się także z poglądem, że okupacja ziem polskich, dokonana przez Rosję Sowiecką we wrześniu 1939 r., zatrzymała się na "linii Curzona", właśnie ze względu na jej charakter granicy narodowościowej. W ten sposób prezentuje się ową "Linie Curzona", jako formułę opatrnościową rozwiązującą idealnie wszystkie konflikty polsko-rosyjskie, która tylko dzięki niechęci Polaków została na jakiś czas odrzucona, a potem przez samą swoją doskonałość, narzuciła się zarówno Rosji jak Niemcom, w chwili gdy dnia 28 września 1939 r., przypieczętowały swój układ przyjaźni — linią Ribbentrop-Mołotow.

Pogląd taki jest całkiem bezasadny. Okupacja sowiecka w Polsce nie kierowała się względami narodowościowymi, lecz raczej strategicznymi i dążyła do utworzenia na ziemiach polskich bazy wypadowej, czy też bazy obronnej, zależnie od przemian w stosunkach ze swoim ówczesnym sojusznikiem niemieckim. Dlatego to granica okupacji sowieckiej była zgodna z "linią Curzona" tylko wzdłuż środkowego biegu rzeki Bugu, zaś na północ i na południe od tego odcinka wybiegała znacznie na zachód. Ludność zamieszkała w obrębie tej okupacji jest przeszło dwukrotnie licniejsza od ludności w obszarze "linii Curzona": — obejmuje 13.2 miliona mieszkańców.

Także i tutaj Polacy stanowią grupę liczebnie najsilniejszą a Rosjanie są w znikomej mniejszości. Liczba Polaków wynosi — 5,2 miliona, Ukraińców — 4,5 miliona, Białorusinów — 1,1 miliona, Żydów — 1,1 miliona, Rosjan — zaledwie 135.000. Silne grupy narodowościowe, ukraińska i białoruska, są każda z osobna, słabsze od polskiej, zarówno liczebnie, jak gospodarczo.

Ziemie te, trzeba dodać, należały do Polski, bądź od samego początku jej istnienia (północna część Mazowsza z Łomżą i Ostrołęką, a z przerwą także Małopolska Wschodnia ze Lwowem), bądź przez długie wieki — najmniej przez 400 lat. Do Rosji nie należały bądź nigdy (Małopolska Wschodnia), bądź przez krótki okres rozbiórów Polski."

Dobrze by było przetłumaczyć całość wywodów doskonałego publicysty polskiego oraz przesłać ten artykuł prasie amerykańskiej i komentatorom radiowym.

Zwłaszcza dziś, gdy na linię Curzona patrzą coraz krytyczniej i trzeźwiej sami Amerykanie.



Francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego (tymczasowy rząd francuski) w Algierze. Pierwszy rząd: Andre Philip, generał Georges Catroux, generał Charles de Gaulle, Henri Queille. Drugi rząd: Rene Pleven, Adrien Tixier, Henri Frenay. Trzeci rząd: Andre Le Trocquer, Louis Jacquinot, Henri Bonnet, Francois de Menthon i Andre Die-thelm. Czwarty rząd: Rene Capitant, Rene Mayer.

"WIR SEGELN NACH DEUTSCHLAND..."

Pięćdziesiąt tysięcy "dobrych Niemców", znajdujących się, jak się okazuje, w Anglii pracuje żwawo i wzorowo. "Never Again" sporządziło niedawno spis niemieckich towarzystw i zrzeszeń, rzeczywiście pouczający. Oto spis trzynastu niemieckich organizacji w Londynie:

1. German Social Democratic Party (Hans Vogel).
2. National Group of German Trade Unionists (Hans Gottfurcht).
3. Neubeginner Group (Erwin Schoettle).
4. German Communist Party.
5. Freedom League of German Socialists (Kurt Hiller — Freiheitsbund Deutscher Sozialisten).
6. The Socialist Workers' Party (Paul Walter).
7. German People's Socialist Party (Hans Jaeger) (Deutsche Volkssozialisten).
8. The Trade Union Centre for German Workers in Great Britain.
9. The Fight for Freedom Publishing Co. (Walter Loeb).
10. Free German Institute of Science and Learning.
11. Free German League of Culture in Great Britain.
12. Free German Youth.
13. Inside Nazi German Publications Co.

W Ameryce jest Niemców więcej,

bo — jak sami podają — około 6 milionów, zrzeszonych w kilkudziesięciu tysiącach organizacji, posiadających 120 własnych pism o łącznym nakładzie 1,000.000 egzemplarzy. Nad wygraniem pokoju po przegranej wojnie pracują równie żwawo i wzorowo socjaldemokraci w organizacjach "Association of Free Germans, Inc.", "German-American Congress for Democracy", komuniści w "German-American Emergency Committee", indywidualnie działają Bruening, Rauschnig, Strasser, Treviranus...

"Mundus vult decipi..."

FIVE DAY WONDER COURSE

Od poniedziałku do piątku — po dwie godziny dziennie. — Rano, popołudniu lub wieczorem. — Nauka pielęgnowania twarzy i ciała. — Jak się nalezy czesać. — Jak się ubierać, by wyglądać skromnie i elegancko.

Telefonujcie lub piszcie:

HELENA RUBINSTEIN

715 — 5ta AVENUE

New York City

Tel. Eldorado 5-2100

ODCZYT OLGIERDA CZARTORYSKIEGO

W dniu 13 lutego w Harvard Club of New York przed audytorjum, liczącym zgorą 400 osób z sfer intelektualnych, przemysłowych i finansowych — Olgierd Czartoryski wygłosił doskonale opracowany odczyt, w którym omówił poszczególne etapy konfliktu polsko-sowieckiego, zagadnienie "linji Curzona", zanalizował skład Bządu Polskiego w Londynie, odpierając zarzuty "faszyzmu", podnoszone przez Sowiety. Drugą część odczytu poświęcił prelegent sprawom niemieckim i stosunkowi Niemców do Polaków od Bismarcka do Hitlera — w trzeciej omówił sytuację Polski pod okupacją.

Po odczycie O. Czartoryski odpowiadał na pytania, omawiając m. i. sprawę katyńską i zerwanie z Polską stosunków dyplomatycznych przez Sowiety.

NOWE KSIĄŻKI

Ostatnio ukazało się szereg książek, omawiających politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych i poszczególne fazy wojny. Na czoło ich wysuwa się praca D. J. Fleminga — "While America Slept", analiza wydarzeń światowych od upadku Francji do Pearl Harbor, "Lend-Lease: Weapon for Victory" Edwarda R. Stettiniusa, jr. i doskonały reportaż znanego dziennikarza Quentina Reynoldsa "The Curtain Rises".

Na odcinku powieściowym również zanotować należy szereg nowości: "Strange Fruit" pióra Lillian Smith, "I wanted to See" Borghildy Dahl, "Bonin" Roberta Standisha, autora "The Three Bamboos", "Fair Stood the Wind for France" lotnika RAF'u H. E. Bates'a, "Liberty Street" I. V. Morrisa i "Hallelujah" Fannie Hurst, autorki słynnej powieści "Boczna ulica".

Biblioteki teatralne amerykańskich melomanów powiększyły się o wartościową pozycję, którą jest wydawnictwo Bumsa Mantlego i Garrisona P. Sherwooda "The Best Plays of 1899-1909".

Dużą poczytnością cieszą się ostatnio wydane biografje sławnych aktorów: wie romancée Johna Barrymore'a "Good Night, Sweet Prince" pióra Gene Fowlera, której sprzedano 128 tysięcy egzemplarzy i autobiografia znaney śpiewaczki operowej Grace Moore p. t. "You're Only Human Omce".

Wydawcy amerykańscy, którzy od dawna specjalizowali się w doskonałych "digestach" popularyzujących literaturę piękną, dochodzą ostatnio do perfekcji. Po szeregu wydań zbiorowych pism poszczególnych autorów, poszczególnych epok literatury i po-

PO OGRANICZENIACH PAPIERU ...



Przyszłość prasy polskiej...

szczególnych krajów w ramach jednego wydawnictwa — ostatnio łączą w jednym olbrzymim tomie różne rodzaje literackie. Ukazała się niezwykle oryginalna w swym układzie książka o 640 stronach (300-tu tysiącach słów) "A Treasury of Modern Best-Sellers", dająca w obszernych wyjątkach ostatnie przeboje rynku księgarskiego: "The Human Comedy", "One World", "Kings Row", "God is My Co-Pilot", "Mr. and Mrs. Cugat", "Centennial Summer", "Thirty Seconds Over Tokio", "Between the Thunder and the Sun", "Junior Miss", i "Dragon's Teeth".

DOBRA ROBOTA

Omawiając sukces książki Zofji Kossak-Szczuckiej "Blessed Are The Meek" ("Bez oręża") na marginesie wydania jej w kilkuset tysiącach egzemplarzy przez "Book of the Month Club" — chicagowski "Dziennik Związkowy" pisze m. i.:

"...Na odcinku życia kulturalnego Ameryki, od czasów Sienkiewicza opuszczonym przez literatów polskich, zaczynają się, dzięki "Rojowi" coraz częściej ukazywać polskie książki i amerykańska publiczność ma sposobność zapoznania się z polską powieścią, polskiem życiem kulturalnym i literackim, polskimi prądami w świecie myśli i słowa.

Dobra to robota ze strony "Roy Publishers"...

Jest to najważniejsze określenie pionierskiej pracy tej zastrżonej placówki polskiego słowa.

PISMO POLSKIE W INDJACH

Staraniem Delegatury Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w Bombaju ukazuje się tam od kilku miesięcy doskonale redagowane polskie pismo "Polak w Indjach". Pismo ma charakter informacyjno-oświatowy, posiada żywą kronikę polityczną, artykuły i feljetyony, rubrykę wiadomości z Kraju i stronę dla młodzieży.

"Polak w Indjach" rzetelnie wypełnia lukę w piśmiennictwie polskim na terenie tamtejszym, do którego pisma polskie z Ameryki i Anglii dochodzą z znacznym opóźnieniem ze względu na odległość i trudności transportowe — zwłaszcza wobec tęsknoty za polskim słowem wśród licznej kolonii polskiej w Indjach.

Z TEATRU POLSKIEGO

Polski Teatr Artystów zawiadamia, że w każdy piątek (poza 10 marca) i w każdą niedzielę o godz. 8-ej wieczór odbywają się przedstawienia sztuki "Niemiec" pióra A. Cwojdzńskiego z udziałem całego zespołu. Następną i jedyną popołudniówka w niedzielę 12-go marca o godzinie 2-giej. Zmawiajcie wcześniej bilety w "Ognisku" w Domu Narodowym, u Maruszewskiego, Twardowskiego i w "Nowym Świecie". Ilość miejsc ograniczona.

17-go marca nowa premjera. Śpieszcie się zobaczyć "Niemca" do 17-go marca.

Dojazd 7th Avenue Broadway Line. (Uważajcie na mapis na subwayu „Broadway”). Przystanek na 103-ej. Teatr meści się na 103-ej i Riverside Drive.

Przyjeżdżajcie i dopomóżcie do utrzymania pierwszego stałego Teatru Polskiego w New Yorku!

JAK TO NA WOJENCE ŁADNIE...

Pewien żołnierz, niedawno przybyły ze Wschodu, całuje Szkotkę. Mijają minuty a chłopiec nie odrywa warg od ust dziewczyny. Wreszcie po dziesięciu minutach Szkotka odzywa się:

— Finish?

— No, Polish!...

POLISH WEEKLY

Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168

Publisher:
„Tygodnik Polski”

Editor:
JAN LECHOŃ

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly—\$3.50 Yearly—\$7.00